

## przedstawienia

Teatr Miejski im. Witolda  
Gombrowicza w Gdyni  
(Mała Scena)

**„Bracia K.”**

wg „Braci Karamazow”

**Fiodora Dostojewskiego**

adapt. i reż. Andrzej Bubień

scenogr. Anna Sekuła

muz. Piotr Salaber

choreogr. Olga Wąchała

premiera 1 grudnia 2006

# Tamta rzeczywistość

**Jarosław Zalesiński**

Adaptator Dostojewskiego tworzy tak jak rzeźbiarz – ociosuje z tego, co zbędne. Jednak w teatrze odrzucone często decyduje o kształcie pozostawionego. Andrzej Bubień, dokonując adaptacji „Braci Karamazow”, odrzucił bardzo wiele. W jego spektaklu ani przez moment nie pojawia się stary rozpustnik Fiodor Karamazow. To tak, jakby w kryminale nie przedstawiono nam przyszłej ofiary. Nie wiem, czy ktoś taki kryminał napisał, ale mogę zaręczyć, że na scenie w Gdyni pomysł ten sprawdza się znakomicie. Intryga wcale przez to nie szwankuje, a nasza uwaga, zamiast na fabule, koncentruje się na wewnętrznym świecie bohaterów spektaklu. W końcu – czy zbrodnia ojco-bójstwa nie dokonała się w sercu Iwana Karamazowa na długo przedtem, zanim jej wykonawcą stał się Smierdiakow? Rozciągnięta na całe przedstawienie

milcząca nieobecność starego Karamazowa ma też specjalną wymowę. Dokładnie tak samo milczy i jest niedostępny ten, do którego wszystko się tu odnosi – Bóg. O realnym istnieniu ziemskiego ojca świadczą rozmowy synów i krew na białej marynarce Dymitra. O istnieniu Ojca Niebieskiego świadczą tylko słowa.

Czego jeszcze nie ma w adaptacji? Przede wszystkim galerii barwnych postaci z powieści Fiodora Dostojewskiego. Nie ma nawet starca Zosimy, choć przecież tak stylowo prezentowałby się na scenie. Nie ma także Rosji z jej salonami i samowarami. Jest prosty czarny podest wysunięty między publiczność, czarne tło scenografii z kratownicą, stół, parę krzeseł, niepokojąca etniczna muzyka, pięcioro aktorów i dziewięć postaci. Choć Andrzej Bubień w wypowiedziach o swej inscenizacji

- 1| Sylwia Gliwa (Liza), Dariusz Majchrzak (Alosza); fot. Joanna Siercha  
 2| Elżbieta Mrozińska (Diabeł), Rafał Kowal (Iwan); fot. Joanna Siercha

odżegnywał się od określenia „teatr medytacyjny”, właśnie taki klimat ma jego przedstawienie. Trzeba przyznać, że dość przewidywalny. Czarny podest kojarzy się ze świeczkami i rzeczywiście w jednej ze scen zapala się je i gasi. Mimo to spektakl pozostawia w niepewności. Najważniejsze z pytań, jakie sobie zadajemy, dotyczy realności panoszącego się na scenie diabła.

Czasem występuje on pod swoim imieniem, chłodny, cyniczny, z laseczką, jak Immanuel Kant na spacerze, czasem wstępuje w łajdackiego Rakitina, a czasem zmienia się w przypominającego Golluma lokaja Smierdiakowa. Kiedy grająca te trzy postacie Elżbieta Mrozińska w nieoświetlonej jeszcze przestrzeni sceny, u zarania spektaklu, wypowiada słynne zdanie Karamazowa: „Jeśli Boga nie ma, wszystko jest dozwolone”, zastanawiamy się, czy to realnie istniejący diabeł podpowiada Iwanowi bluźnierstwo, czy też w słowach tych słyszymy jedynie echo myśli Iwana. Bubienia interesuje źródło pochodzenia zła. Czy rodzi się ono w nas, czy też przychodzi do nas z zewnątrz? Mrozińska gra tak sugestywnie, że prawie gotów jestem w realność diabła uwierzyć. Ale parę szczegółów mi tę wiarę osłabia. Na przykład scena, w której diabeł przygotowuje Katarzynę Iwanownę do spotkania z Iwanem. Czyni to tak, jakby dziewczyna była nakręcanym manekinem, na którego naciąga się suknię i którego wprawia się w ruch. Tak samo mechanicznie mówi nieszczęśliwa Liza (jedna z trzech, obok Katarzyny i Gruszy, kobiecych postaci, granych przez Sylwię Gliwę). Sztuczny,



2

obsesyjny gest powtarza w jednej z więziennych scen Dymitr (Dariusz Siastacz) – jakby próbował zedrzeć z twarzy jakąś maskę. „Wszystko tu jest udawaniem” – to jedno zdanie chytre go Smierdiakowa rzuca światło na inscenizację. Zło nie jest realne, polega tylko na udawaniu, grze, kłamstwie. Nie przybywa z pozaludzkiego świata, tylko w nim się rodzi.

Przyczyna potwornych komplikacji miłosnych i ludzkich relacji tkwiłaby więc w nich samych, nigdzie indziej? Diabeł czasem wydaje się w tym przedstawieniu naszym ludzkim wątpleniem, które najbardziej pragnie potwierdzenia, że Bóg jest, choć nie potrafimy w Niego uwierzyć. A czasem realnym, metafizycznym przeciwnikiem, który

bawi się ludźmi, prowadząc własną grę ze Stwórcą. Gdy Smierdiakow w pięknej scenie wciąga Iwana w osobiwą partię szachów, w której figurkami są prawosławne krzyże, nie mamy pewności, a przynajmniej ja jej nie mam, czy to demon czy *alter ego* Iwana. Widzimy tylko, jak skomplikowany labirynt tworzą rozstawione figury. I nie widzimy drogi, która z niego wyprowadza. Rzecz nie dotyczy tylko diabła. Prostolinijny Alosza, czysto i prosto grany przez Dariusza Majchrzaka, uchodzi w tym świecie za jurodiwego, bo mówi tak – tak, nie – nie, bez udawania. I znów nie wiemy, czy ta jego Chrystusowa prostota jest z tego czy nie z tego świata?

Andrzejowi Bubieniowi udało się coś naprawdę zaskakującego.

Oto uobecnił na scenie „drugą” rzeczywistość, jednak w taki sposób, byśmy nie byli pewni jej istnienia. Jeśli coś ona do nas mówi, to tylko poprzez sytuacje czy osoby. Jeśli coś z nami robi, to tylko jako pierwsza, nieporuszona i niewidoczna przyczyna. Ale może jedynie my ludzie robimy sobie nawzajem to wszystko? Nie wiadomo. Reżyser nie chce nas jednak doprowadzić do rezygnacji. Przeciwnie. Diabeł, jak wiemy, ma w tej historii wiele powodów, by na koniec triumfować. A jednak przed zniknięciem wręcza Aloszy upuszczoną na ziemię riaskę najmłodszego Karamazowa, tak jakby zachęcał go: nie popadaj w zwątpienie, szukaj dalej. Spektakl zaś, tak samo jak powieść, kończy się okrzykiem: „Niech żyje Ka-

ramazow!”. To zresztą jedyny moment, w którym adaptacyjne skróty Bubienia rodzą pewną wątpliwość. Zdanie wyjęte z kontekstu finałowej sceny powieści brzmi jak wyznanie wiary w możliwość uporania się z tymi przekłętymi problemami przez samego człowieka, a tego nam chyba Dostojewski do wierzenia nie podsuwał. Ja również tej wiary bym nie podzielał. Przyznaję jednak, że Andrzej Bubień wciągnął mnie w poważne rozmyślanie. Dobrze, że znalazł zespół, z którym można na te niedzisiejsze tematy rozmawiać z rzadką we współczesnym teatrze powagą. ■

Jarosław Zalesiński – dziennikarz, poeta; publikuje w „Dzienniku Bałtyckim”. Mieszka w Sopocie.